

BYĆ MISTRZEM ŚWIATA - RUNDA PIERWSZA

Wywiad z Krzysztofem Pajewskim

S kąd wzięły się Twoje zainteresowania sztukami walki?

- Jako trzynastolatek, zainteresowałem się artykułami drukowanymi w piśmie, wydawanym przez Ludowe Zespoły Sportowe, po nazwą „Wiadomości Sportowe”. W każdym numerze tej gazety, podawano przykładowe lekcje kulturystyki oraz karate. Wyczytane tam informacje wywarły na mnie duży wpływ.

Zbudowałem sobie w piwnicy siłownię i przez okres roku, codziennie tam „podnosiłem”, zgodnie ze wskazówkami z gazety. Starałem się też uczyć opisywanych uderzeń oraz kopnięć karate. Że wpływ tej gazety był duży, niech świadczy fakt, że w jednym z numerów wyczytałem, że odżywianie ma decydujące znaczenie dla formy sportowej.

Przez półtora roku nie zjadłem ani jednego cukierka, ciastka, właściwie odżywiałem się tylko mlekiem i chlebem, by przypadkiem nie zjeść grama tłuszczu lub innych, zbędnych i szkodliwych produktów. Z perspektywy czasu, dziwię się, że nie wpadłem w anemię. Teraz może wydawać się to bardzo dziecinne, ale wtedy bardzo w to wierzyłem.

- Powiedziałeś, że uczyłeś się kopnięć i uderzeń karate z gazety?

- Początkowo tak, ale nie bardzo mi to wychodziło, i po pewnym czasie, gdzieś w połowie VIII klasy, zapisałem się do sekcji karate kyokushinkai w Sulechowie (1978 r.). Moim trenerem był Rutkowski, ale pierwszy egzamin na 9 Kyu zdawałem przed Szostakiem i Józwiakiem. Trenowałem tam pół roku.

- Jak to się stało, że z karate kyokushinkai trafiłeś do Taekwon-do?

- Po ukończeniu ósmej klasy, przeprowadziliśmy się z rodzicami w okolice Koszalina. Przypadkiem trafiłem do sekcji kyoksul. Zapisa-

Pierwszy Polak, który zdobył tytuł indywidualnego Mistrza Świata Taekwon-do ITF w walce sportowej w kategorii wagowej 63-71 kg (VI MS Budapeszt, Węgry 1988 r.).

Członek Reprezentacji Polski Taekwon-do w latach 1984-1992.

Wygrywał swoje walki, błędnie stosując kopnięcie boczne Yop Chagi nogą wykroczną. Jego sposób walki, przyjęty przez większość zawodników polskiej drużyny, był tak uciążliwy dla przeciwników, że zmusił ich do szczególnego przygotowania taktyczno-technicznego przed każdym spotkaniem.

Dopiero w roku 1991, na Mistrzostwach Europy w Koszalinie, pokonał go Holender Mike Karelsz, doskonale ustawiony taktycznie przez słynnego trenera Wijnanda Tapilatu, stosując poruszanie po kole i przejście do skrótu dystansu.

Ci, którzy zdołali pokonać Krzysztofa Pajewskiego, musieli zwycięstwo okupić ciężką pracą, talentem i doskonałym przygotowaniem psychomotorycznym, a i tak, zwycięstwo było minimalne.

Urodzony 3 listopada 1963 w Lubsku, województwo zielonogórskie.

Matka Otylia, ojciec Michał, obecnie oboje na rencie.

Rodzeństwo: siostra Małgorzata Marek, 29 lat.

Oczy niebieskie, włosy ciemne, wzrost 180 cm, waga 75 kg.

Ukończył Szkołę Podstawową Nr 2 w Lubsku, Zasadniczą Szkołę Zawodową w Czółchowie, a następnie Technikum Ekonomiczne w Koszalinie.

Zawód wyuczony: technik ekonomista.

Zawód wykonywany: instruktor Taekwon-do od 1991 roku.

Wychowuje córeczkę Izę, 2 lata i cztery miesiące.

Stan cywilny: kawaler.



łem się tam, bo w pobliżu nie było innych sekcji. Trenerem był Gienek Wiśniewski, i od czasu do czasu przyjeżdżał mój późniejszy trener, Henryk Ficek. Później Ficek nawiązał kontakty z koreańskimi instruktorami Taekwon-do i przeszedł na ITF, a wraz z nim, wszystkie podległe mu sekcje.

- Dlaczego właściwie wybrałeś sztuki walki, a nie kulturystykę?

- W wieku czternastu lat uważałem, że dobrze biegam przełazem, ale nie przynosiło mi to kozackiej sławy wśród rówieśników. General-





Krzysztof Pajewski podczas treningu w swoim piwnicznym Dojang.



Turniej Taekwon-do w Łodzi: stoi Henryk Ficek. Siedzą, od lewej: Michał Samet, Piotr Radke, Jacek Skóra, Piotr Wojtkowiak, Krzysztof Pajewski. 1983 rok.

nie byłem chudy i miałem z tego powodu kompleksy. Chciałem wyglądać jak kulturyści z gazet, a do tego, umieć dobrze się bić, by móc imponować kolegom, i to mnie motywowało do treningu. W późniejszym okresie, zrobili na mnie duże wrażenie pokazy Taekwon-do w wykonaniu drużyny pokazowej z Korei Północnej (1982 r.). Ich sprawność i umiejętności zaszokowały mnie.

Rok później, pojechaliśmy na pierwszy turniej Taekwon-do do Łodzi. Były tam drużyny Łodzi, Lublina i my, jako połączone siły Gdańska i Koszalina. Uważaliśmy się za bardzo silną drużynę, nie widzieliśmy przeciwników dla siebie w żadnych innych sztukach walki. W jej skład wchodził, oprócz mnie, Piotr Radke, Michał Samet, Darek Skóra i Piotr Wojtkowiak.

Konfrontacja umiejętności z drużyną lubelską była naszą porażką. Gdy okazało się, że mamy walczyć z Łodzią, która z łatwością rozprawiła się z drużyną lubelską, trener Henryk Ficek poddał drużynę bez walki.

Największe wrażenie zrobili na mnie nie tyle same walki, co umiejętności zawodników Taekwon-do. Do tej pory pamiętam sprawność Mirka Sobczyka i Janusza Kosmali. To, co oni potrafili robić, było dla mnie niedoścignionym wzorem.

W drodze powrotnej z Łodzi, z bagażem świeżych wrażeń i siniaków, wysiedliśmy w Słupsku, by zobaczyć Mistrzostwa Polski w kyokushinkai. Wtedy dopiero zobaczyliśmy, jaka przepaść dzieli oba style.

Człowieku... Nudne walki, prymitywna technika. O takich technikach jak w Taekwon-do niewiele wiedzieliśmy i nie robiło się tego, niewiele też wiedzieli zawodnicy z karate kyokushinkai. To było jak niebo i ziemia!

I to też utwierdziło mnie w przekonaniu, że Taekwon-do to jest właściwy wybór.

- W tym okresie, to jest na początku 1993 roku, na miesiąc przyjechał do Koszalina Hong Chul Song, V Dan, późniejszy trener reprezentacji męskiej Korei Północnej.

Jakie wywarł wrażenie na Tobie, i jak podziało to na sekcję?

- Jego pobyt, mimo że krótki, zmienił właściwie wszystko.

Zrobiliśmy kolosalne postępy. Niech świadczy o tym fakt, że ten chłopak, który prowadził z nami zajęcia, Gienek Wiśniewski, przez dłuższy czas był najlepszy. Przez czas, gdy był Hong, zaczęliśmy lepiej kopać, lepiej się rozciągnęliśmy, w ogóle, wszystko zaczęliśmy robić dużo lepiej. Ja i jeszcze kilka osób lepiej przyswajaliśmy nowe techniki, dużo lepiej niż nasz instruktor, który nie mógł się przestać, i w efekcie odszedł i założył nową sekcję karate, gdy już nie mógł nad nami górować.

- Czy turniej w Łodzi to były Twoje pierwsze zawody?

- Pierwszym turniejem były przeprowadzone w 1982 Mistrzostwa Okręgu Północnego w kyokusul, zorganizowane przez Henryka Ficka, w którym zająłem pierwsze miejsce w kategorii do 80 kg.

Później w Łodzi, to był mój drugi turniej. Przegrałem tam z Dardkiem Kosmałą.

Trzeci, to przed Pucharem Czarnego Geparda, Ficek zorganizował w Cetniewie zgrupowanie, które zakończyło się turniejem, bez podziału na kategorie wagowe.

Wygrałem tam bez problemu. Udało mi się włożyć każdemu podwójne Dollyo Chagi na głowę. To był taki turniej dla najlepszych zawodników Ficka.

W Pucharze Czarnego Geparda miałem dwie walki, z których drugą przegrałem z Sametą. Przepychał mnie, jeszcze w tamtym okresie nie byłem zbyt silny fizycznie.

Następnie, Międzynarodowe Zawody w Lublinie w 84 r. Pierwszą walkę wygrałem z Grekiem, a drugą przegrałem, z Tobą.

Pojechałem później jako zawodnik na Mistrzostwa Europy w Taekwon-do do Budapesztu w 84, ale odpadłem w eliminacjach.

- Czy pamiętasz swój egzamin na I lub II Dan?

- Tak, wszystkie pamiętam. Egzaminatorem był syn Choia, Choi Jung Hwa, w 1988 roku, a na II Dan zdawałem niedawno, przed Kim Jong Su, w 1993 r.

- Czy prawdą jest, że w nagrodę za tytuł Mistrza Świata dostałeś mieszkanie?

- Nie, to nieprawda. Mieszkanie dostałem, ale za tytuł Mistrza Europy w Reading, w 1991 roku.

Pięćdziesiąt metrów kwadratowych, dwupokojowe. Mieszkam tam do chwili obecnej.

- Czy masz jakieś sukcesy szkoleniowe jako trener?

- Trochę ich już jest. Prowadzę zajęcia od 1991 roku w Szczecińskim Klubie Taekwon-do. I tak, chronologicznie: w 1992 roku Zbigniew Sołtyś został Mistrzem Polski Juniorów w 92 r. w kategorii do 52 kg oraz Mistrzem Europy Juniorów w 92 r. w kategorii do 52 kg, a Rafał Rygielski został Wicemistrzem Polski Seniorów w 93 r. w kategorii do 80 kg. W 1993 roku Alina Goszczyńska i Ola Warska zostały drugimi Wicemistrzami Polski Seniorów, Rafał Czerny Mistrzem Polski Juniorów w kategorii do 46 kg i Zbigniew Sołtyś został Wicemistrzem Polski Juniorów w kategorii do 52 kg. Zdobylismy też trzecie miejsce w walkach drużynowych Mistrzostw Polski Juniorów.

W roku bieżącym, sezon jeszcze przede mną.

- Jak na trzy lata, to bardzo dużo sukcesów. Co robisz w takim razie na treningu?

- To nie tylko zasługa treningu. Do mojego przyjazdu do Szczecinka, młodzież właściwie nie miała tam możliwości uprawiania sztuk walki. Na pierwszy mój trening przyszło około dwustu osób, i w tej grupie było bardzo dużo utalentowanych młodych ludzi. Część z nich miała zresztą już wcześniej jakiś kontakt ze sportem.

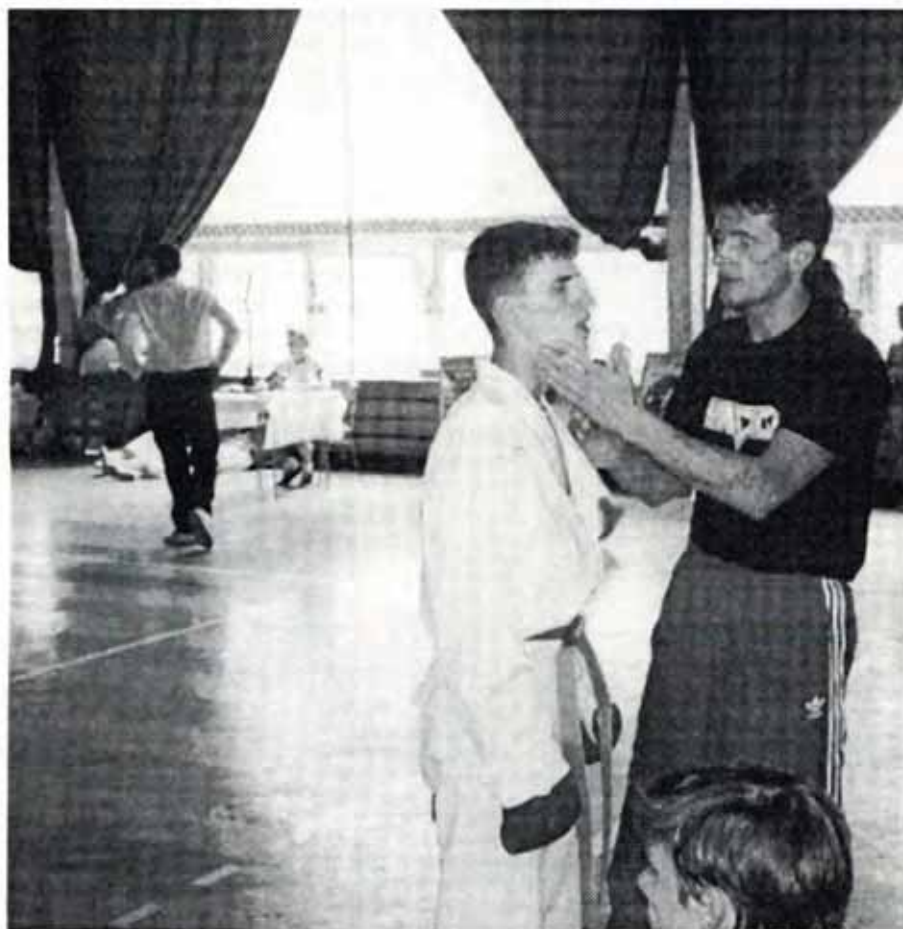
Obecnie prowadzę grupę początkującą i zaawansowaną, mam stałe około 60 ćwiczących.

- Kiedy przyszły Twoje pierwsze duże zwycięstwa i co uważasz za swój największy sukces?

- Oczywiście zdobycie tytułu Mistrza Świata w Budapeszcie, w 1988. Byłem także indywidualnym Mistrzem Europy w 1991 w Reading, i trzykrotnie Mistrzem Polski Seniorów: w 1988, w 1991 i w 1992 roku.

Ale najbardziej cieszyłem się, gdy dowiedziałem się, że pojedę do Budapesztu w 1984 roku, na Mistrzostwa Europy. Przygotowania do tego wyjazdu bardzo mnie emocjonowały.

Były to czasy, gdy trudno było załatwić paszport, a przed wyjazdem trzeba było poradzić sobie z niezliczoną ilością formalności. Żeby wszystko załatwić, z osiem ra



Krzysztof Pajewski z wychowankiem, Zbigniewem Sołtysem, podczas przerwy w walce. Ogólnopolski Turniej Taekwon-do w Olsztynie.



zy odwiedzałem siedzibę ZSP w Warszawie, który w tamtym czasie koordynował sprawę wyjazdu.

Wszystko, co robiłem, by móc wyjechać, bardzo mnie budo- wało. Trenowałem też o wiele więcej, niż zazwyczaj, trzy, a nawet cztery razy dziennie.

- Twierdzisz, że najbardziej ucieszyła Cię wiadomość o wyjeździe do Budapesztu.

Czy to znaczy, że same zawody Cię rozczarowały?

- Nie. Od momentu, gdy tylko dowiedziałem się o wyjeździe, cały czas byłem podekscytowany. Był to mój pierwszy wyjazd za granicę. W tamtym okresie, uważało się Węgry prawie za Zachód, taki jak oglądany w telewizji.

Było wspaniale. Byliśmy zakwaterowani w luksusowym, czterogwiazdkowym hotelu, wyżywienie było na tzw. szwedzkim stole, olbrzymia hala, sklepy, reklamy. To wszystko zrobiło na mnie duże wrażenie, a same zawody, te nie poszły mi najlepiej.

Miałem pierwszą walkę w całych zawodach, z zawodnikiem gospodarza. Właściwie tylko weszliśmy na salę, a już mnie wyczytywali do walki. Do tego wszystkiego, generalnie nikt w polskiej ekipie nie miał sprzętu do walki, więc uprosiliśmy

Węgrów, by nam pożyczili. Czas miał, sekundy dzieliły mnie od dyskwalifikacji. Wszystko szybko, szybko, szybko.

Przegrałem tę walkę wyraźnie. Nie wiem, czy to coś by zmieniło, ale tuż przed zgrupowaniem w Cetniewie, które poprzedziło wyjazd, brałem udział w pokazie, i koledzy tak nieszczęśliwie trzymali deskę, którą miałem złamać, że uszkodziłem sobie biodro. Naderwałem sobie nogę tak, że przy kopnięciu Yop Chagi, nawet jeszcze po roku, odczuwałem ból.

Ta walka podłamała mnie.

Później jeszcze dramat przed drużynówkami, to znaczy, czy mam wystartować, czy nie. W końcu, zrezygnowałem. Bałem się, jak już raz przegrałem, żeby nie przegrała przeze mnie cała drużyna. I na piątego wystąpił Graczyk. Ale i tak odpadliśmy w eliminacjach.

- Oglądałem taką fotografię, na której kopiesz Yop Chagi w mundurze wojskowym.

Czy byłeś w wojsku, i czy nie przeszkodziło Ci to w karierze sportowej?



– Od 85 do 87 byłem w wojsku. Wtedy w Taekwon–do była taka przerwa, gdzie nic się nie działo, ale mnie ta przerwa dużo dała. Miałem służbę na sali gimnastycznej, gdzie niewiele było do roboty, więc od rana do wieczora ćwiczyłem.

W 87 wyszedłem z wojska i pojechałem na turniej ogólnopolski do Lubina, gdzie w kategorii wagowej do 80 kg pokonałem takich zawodników, jak Waldek Staszek w finale i Piotr Szymanowski w półfinale. Po prostu wywiozłem ich na Yop Chagi z planszy.

Później był szereg turniejów ogólnopolskich, które wygrałem, między innymi Śrem, Krasnik, Lublin i inne.

– Jakie masz plany na przyszłość?

– Wszystkie moje plany i marzenia w momencie, gdy byłem zawodnikiem, związane były z walką, żeby zdobyć jeszcze raz tytuł Mistrz Świata czy Europy.

A później, gdy przestałem walczyć, to właściwie nie mam nawet sprecyzowanych marzeń czy planów, bo jeszcze sam nie wiem, co będę robił, tak w stu procentach.

Ale na pewno chciałbym związać się z Taekwon–do w Polsce. Najbliższe plany to treningi w Szczecinku, a od tego roku, także w Koszalinie.

– Czy jest prawdą, że kto raz stanął na najwyższym podium Mistrzostw Świata, stara się za wszelką cenę stanąć tam ponownie, że działa to jak narkotyki?

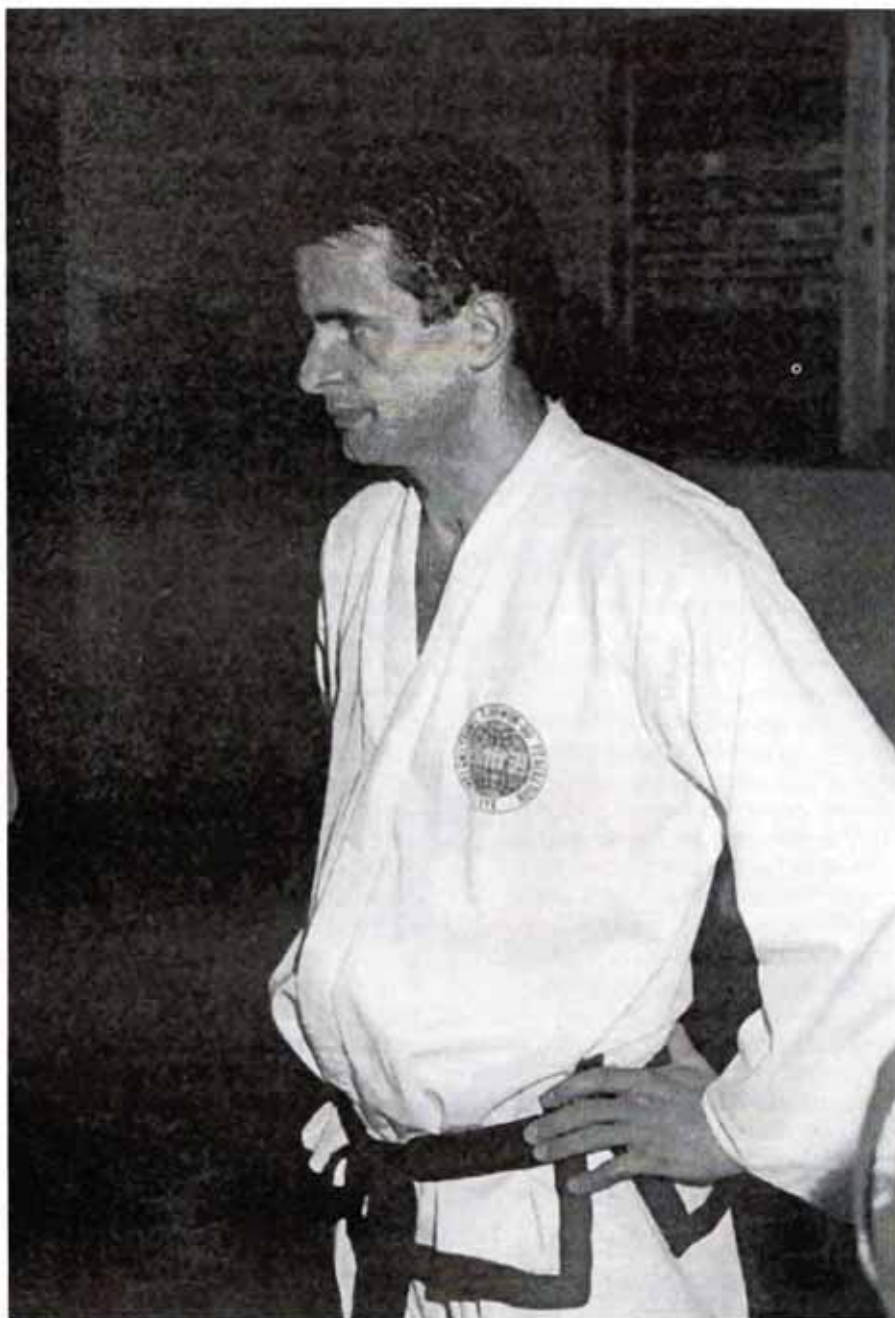
– Chyba nie tak dużo mi brakowało, bym stanął tam ponownie na Mistrzostwach Świata w Kanadzie w 90 roku.

O tym, by ponownie stanąć na pudle na pewno się marzy, i to nie ulega wątpliwości. Jest to bardzo indywidualne i głębokie przeżycie. Nie umiem tego opisać.

Jak zdobyłem tytuł Mistrza Świata, ze szczęścia płakałem ponad godzinę. Łzy same kapały mi z oczu, nie mogłem tego opanować. Nie chciałem, by ktoś widział, że płaczę, ale płakałem wciąż na nowo, i to głośno.

– Czy zmuszony byłeś wykorzystać swoje umiejętności w walce poza salą czy matą?

– Z natury raczej nie jestem jakimś tam wyskokowym facetem. Ale czasami bywały takie sytuacje.



Na szczęście, nie zdarzyło się, bym został pobity na ulicy.

Tak, było kilka takich sytuacji, ale niezbyt dużo.

– Czy możesz nam o kilku z nich opowiedzieć?

– Tak, chyba tak.

Poszliśmy kiedyś na dyskotekę. Ja i dwóch kolegów, jeden z tych dwu kolegów to policjant. Wszyscy byliśmy niepalący. Siedliśmy przy stoliku, i schowaliśmy popielniczkę pod stół. Nie spodobało się to kelnerce, która poszła do bramkarza ze skargą na nas. W międzyczasie, ja z kolegą wyszliśmy do toalety, został tylko ten wspomniany policjant. Gdy wróciliśmy, bramkarz trzymał go za ubranie i okładał pięścią.

Bramkarz był dużo większy i od policjanta, i ode mnie. Taki niezły sobie kafar. Ale podszedłem i mówię mu: „Słuchaj, daj spokój”. Wtedy bramkarz zostawił policjanta, który był już półprzytomny, i rzucił się z pięściami na mnie. Wyprzedziłem go lewym prostym i poprawiłem nogą zakroczną Dollyo prosto w nos, tak że go przymroczyło, i zaczął krwawić. W tym momencie, ocknął się policjant, podbiegł do leżącego już bramkarza i psiuknął mu gazem po oczach.

Najzabawniejszym momentem był ten, gdy już wyszliśmy z tej dyskoteki, a policjant mówi do mnie: „Widzisz, Krzysiu, dobrze, że wziąłem gaz...”.

Kiedyś, gdy byłem jeszcze uczniem i mieszkałem w akademiku, wracałem z kolegą ze sklepu ulicą Kolejową. Naprzeciw nas wyszło z dyskoteki podpite towarzystwo, z zakreconymi na rękach pasami, rozchełstanymi ubraniami, zachowujące się dość głośno i arogancko.

Gdy nas zobaczyli, zaczęli do nas biec, wykrzykując: „Brać ich, dać”. Nie było czasu ani możliwości, by coś wytłumaczyć, albo jakoś ich uspokoić.

Ci najagresywniejsi, którzy wybili się na początek, rozdzielili się, jeden do mnie, jeden do mojego kolegi. Kopnąłem pierwszego jakoś tak w tył głowy i zaraz przemieściłem się, by pomóc koledze, który szybko schował się za moimi plecami. Gdy walczyłem z tym drugim, nagle widzę kątem oka, że ten pierwszy wsadził głowę do śmietnika i czego szuka.

Krzyczę do kolegi, by go ostrzec: „Odejdź od niego, bo czego szuka, zaraz ci przyłoży”. Cała grupa szybko i niebezpiecznie się do nas zbliżała, więc uporałem się z drugim i stanąłem w pozycji obronnej, czekając, co dalej nastąpi. Wtedy okazało się, że ten pierwszy napastnik, po kopnięciu w głowę, wpadł do śmietnika i nie może z niego wyjść, a nie jak mi się wydawało, czego w nim szuka.

Jak pozostali zobaczyli, co się stało, nie atakowali nas już, tylko zabrali swoich kolegów, a my odeszliśmy spokojnie. Później dowiedziałem się, że obaj dochodzili do siebie aż do rana.

Pierwsza moja bójka, która utkwiała mi w pamięci, zdarzyła się na plaży, nad jeziorem. Zjawił się tam jakiś agresywny człowiek, któremu ktoś rzekomo ukradł zegarek. Bez powodu, podbiegł do jednego z opalających się i zaczął go kopać. Wszyscy szybko uciekli.

Ja, nie widząc zajścia, spokojnie się właśnie ubierałem. Wtedy on podbiegł do mnie i chciał mnie kopnąć w plecy. Ale w tym czasie miałem już zielony pas, odruchowo złapałem jego nogę i kopnąłem go w twarz, ale jeszcze nie były to zbyt silne techniki. Tylko go zdenerwowałem. Próbował jeszcze mnie uderzać czy kopać, ale unikałem jego ciosów.

Szybko zebrało się dużo starszych osób i cała bójka została wygaszona. Ale mocno się wtedy zdenerwowałem.

Zdarzyła mi się też taka historia w Lubsku, zaraz po zdobyciu tytułu Mistrza Świata. Stałem na ulicy z koleżanką. Przechodziło obok nas dwóch dobrze umięśnionych mężczyzn, i powiedziałem do tej swojej koleżanki: „Patrz, jacy napakowani klienci”.

Oni to usłyszeli, i nie spodobało im się. Większy z nich mówi do mnie: „Wejź tu na podwórko”. Zgodziłem się. I gdy tylko przeszedłem przez bramkę, rzucił się na mnie z rękami i próbował mnie uderzyć. Ale udało mi się to łatwo zblokować. Gdy zobaczył, że sobie z nim radzę, wycofał się, mówiąc: „Ja do ciebie już nic nie mam”.

Wyszliśmy znowu na ulicę, a kolega tego wyższego, gdy mnie zobaczył, a ja nie pobity, mówi do mnie: „To chodź teraz ze mną”. I znowu poszliśmy za bramę w podwórko. Gość był tak wolny, że zdążyłem zrobić mu Naeryo i obrotowe Yop Chagi, tak że osunął się na jakieś komórki i nie wstawał.

Wyszedłem, i powiedziałem jego wyższemu koledze, że on tam został, i odeszliśmy stamtąd. Dziewczyna do końca nie wiedziała, co my tam robiliśmy.

Kiedyś z kolegami z kickboxingu Przemkiem Saletą i Piotrkim Siegoczyńskim (*Od Red.: Obaj Mistrzowie Świata w kickboxingu.*), z sekcji był Darek Skiba i jeszcze jeden kolega, który nie trenował, poszliśmy do kawiarni po jakimś turnieju.

Pech chciał, że tego nietrenującego kolegę uderzył jakiś typ. Ten kolega miał na imię Jurek. I mówi do mnie: „Krzysiek, ten typ mnie uderzył”. Podchodzę do niego i pytam: „Co robisz? Czego bijesz moich kolegów?” On mnie chwycił za ubranie i próbował mnie chyba przewrócić. Wtedy całą serią naprzemiennych haków i sierpów doprowadziłem do uwolnienia się i kończące kopnięcie Ap Chagi wystarczyło, by zakończyć bójkę.

Innym razem, byłem wtedy na przepustce, po małej imprezie nie zdążyliśmy na autobus. Ja byłem w dresie, a mój kolega w mundurze.

Poszliśmy więc do restauracji, by tam poczekać na następny autobus. Przysiedliśmy się do jakiejś dziewczyny. Czasami później ją widywałem. Ale jak to często bywa, to, że się przysiedliśmy, nie spodobało się trzem znanym w Bobolicach rozrabiakom.

Podeszli do stolika i siłą zabrali mi kolegę od stolika w róg sali. Na początku nie wiedziałem, co się dzieje i nieświadomie podszedłem do nich.

Wtedy po raz pierwszy pękł mi nos. Gdy podchodziłem, jeden z przeciwników chwycił mnie za ubranie i uderzył głową. Od razu przeszedłem do kontrataku. Dwie Jirugi na głowę pierwszego, Yop Chagi w nerkę drugiego, Dwimyo Tora Yop Chagi na splot trzeciego. Zdarzenie odbywało się na pierwszym piętrze restauracji, i ten agresor, który uderzył mnie w nos, stanął przy dużym oknie. Przez sekundę mignęła mi myśl, żeby go Yop Chagi z przejścia wyrzucić przez to okno. Ale szybko się opanowałem. Po prostu szybko się ewakuowaliśmy stamtąd.

Ci faceci od tamtej pory zdążyli się już wyszumieć i już tak nie rozrabiają, ale do tej pory opowiadają, jak to bili się z Pajewskim, bo później, jak stałem się bardziej znany i popularny, zidentyfikowali mnie.

- Wspomniałeś, że wtedy po raz pierwszy złamano Ci nos, co nie jest częste u zawodników Taekwon-do.

Ile razy miałeś łamany nos, i kto Ci go łamał?

- Nos miałem łamany trzy razy. Drugi raz złamał mi go Chyrluk, w pokazowej walce w kickboxingu w Koszalinie. Trzeci raz, na treningu, przez przypadek, był już trochę słaby.

Zawsze sam sobie ten nos nostałem. Nigdy nie byłem z tym u lekarza. Nie wiem, czy się go bałem czy co, ale zawsze to robiłem sam.

Jak widać, chyba za dobrze mi to wychodziło, bo jak początkowo był przechyłony w jedną, to teraz mam go w drugą stronę...

cdn.

Wywiad z Krzysztofem Pajewskim przeprowadził
1 października 1994 roku
Tadeusz Łoboda IV Dan.

Zdjęcia:
archiwum
Krzysztofa Pajewskiego,
Janusz Wlizio I Dan.

Opr. Red.

BYĆ MISTRZEM ŚWIATA - RUNDA DRUGA

Druga część wywiadu z Krzysztofem Pajewskim

L

epiej jest być zawodnikiem czy trenerem?

- Chyba zawodnikiem. Gdy przypomnę sobie pierwsze zawody, na których wystąpiłem w roli trenera, to muszę powiedzieć, że przeżywałem większy stres, niż gdybym sam walczył. Dłonie zrobiły mi się mokre, cały się trząsałem gdzieś wewnątrz. A czegoż to ja nie wykrzykiwałem ze skraju planszy!

Widzisz, kiedy się samemu walczy, to stres mija z komendą „Si-jak!” wydaną przez sędziego. Kiedy jest się trenerem, stres zaczyna się

od tej komendy i trwa jeszcze długo po zakończeniu walki. Teraz już trochę spokojniej podchodzę do wyczynów swoich wychowanków.

- Powiedz, jak Twoją decyzję przejścia na trenerstwo przyjęło środowisko?

- Niektórzy się dziwili, drudzy życzyli mi powodzenia, inni nie dowierzali... Zresztą, tak naprawdę nie wiem. Wiem tylko, jak sam to przyjąłem.

Na początku było mi bardzo trudno, gdy patrzyłem na kolegów, z którymi nie tak dawno walczyłem. Przecież nie minęło wiele czasu, jak razem z nimi trenowałem. Sercem



Złoty Medal Mistrza Świata w walce Taekwon-do ITF, Budapeszt 1988



Walka finałowa Krzysztofa Pajewskiego o tytuł Mistrza Świata z Portorykańczykiem Solano Sixto. Walkę sędziuje Szef Sędziów ITF, Leong Wai Meng VII Dan. Na krzeselku, Jerzy Jedut. Budapeszt 1988, Węgry.

jeszcze bardzo bym chciał być po tej drugiej stronie.

Było mi po prostu bardzo żal.

- Wielu zawodników uskarża się na dolegliwości kolan lub pleców. Czy Ty odniosłeś w wyniku treningu jakież kontuzje?

- Wspominałem już o Cetniewie. Innych kontuzji, nie licząc jeszcze nosa, nie miałem i jak dotąd, nic mnie nie boli.

- Którego ze swoich trenerów byś szczególnie wyróżnił?

- Tu muszę wymienić dwóch spośród swoich trenerów.

Pierwszy, to Hong Chol Song V Dan, który zmienił nam całkowicie trening, całe spojrzenie na sztuki walki. Od wtedy zaczęliśmy naprawdę trenować, zobaczyliśmy, jak naprawdę wygląda trening.

Drugi, to Henryk Ficek, bo ten cały czas ćwiczyliśmy z nim i wiele mu zawdzięczam. To on mnie wypromował.

- Czy miałeś jakąś swoją ulubioną technikę?

- Zanim zacząłem wykorzystywać Yop Chagi, było to na pewno Dollyo Chagi zakroczną nogą. Kie-

dy walczyłem, doskonale czułem siłę swojej techniki, szczególnie lewą nogą. Zresztą nawet w późniejszym okresie starałem się zawsze kończyć akcją tę techniką.

Gdy pojechaliśmy pierwszy raz do Korei i startowałem w rozegranym wtedy meczu towarzyskim, kilkakrotnie udało mi się „przytkać” Koreańczyka właśnie Dollyo Chagi.

- A które techniki sprawiały Ci największą trudność?

- Początkowo, najwięcej kłopotów sprawiała mi koordynacja rąk i nóg. To była dla mnie straszna sprawa. Potrafiłem walczyć na same ręce, potrafiłem walczyć na same nogi. Ale gdy przychodziło do normalnej walki, to panicznie bałem się kontaktu.

Tak, połączenie rąk i nóg to była moja pierwsza poważna trudność. A generalnie, najgorzej wychodziły mi techniki w wyskoku.

- Z jakiego typu zawodnikami nie lubiłeś walczyć najbardziej?

- Najbardziej nie lubiłem walczyć z zawodnikami wysokimi i jak ja, walczącymi w odwrotnej pozycji, czyli prawej. Największe męki przeżywałem z przeciwnikami walczący-

mi nogą wykroczną, podobnie jak ja. W Reading walczyłem z Węgrem, może nie był najlepszym technicznie, ale strasznie mnie zmordował, gdyż walczyliśmy wręcz identycznie.

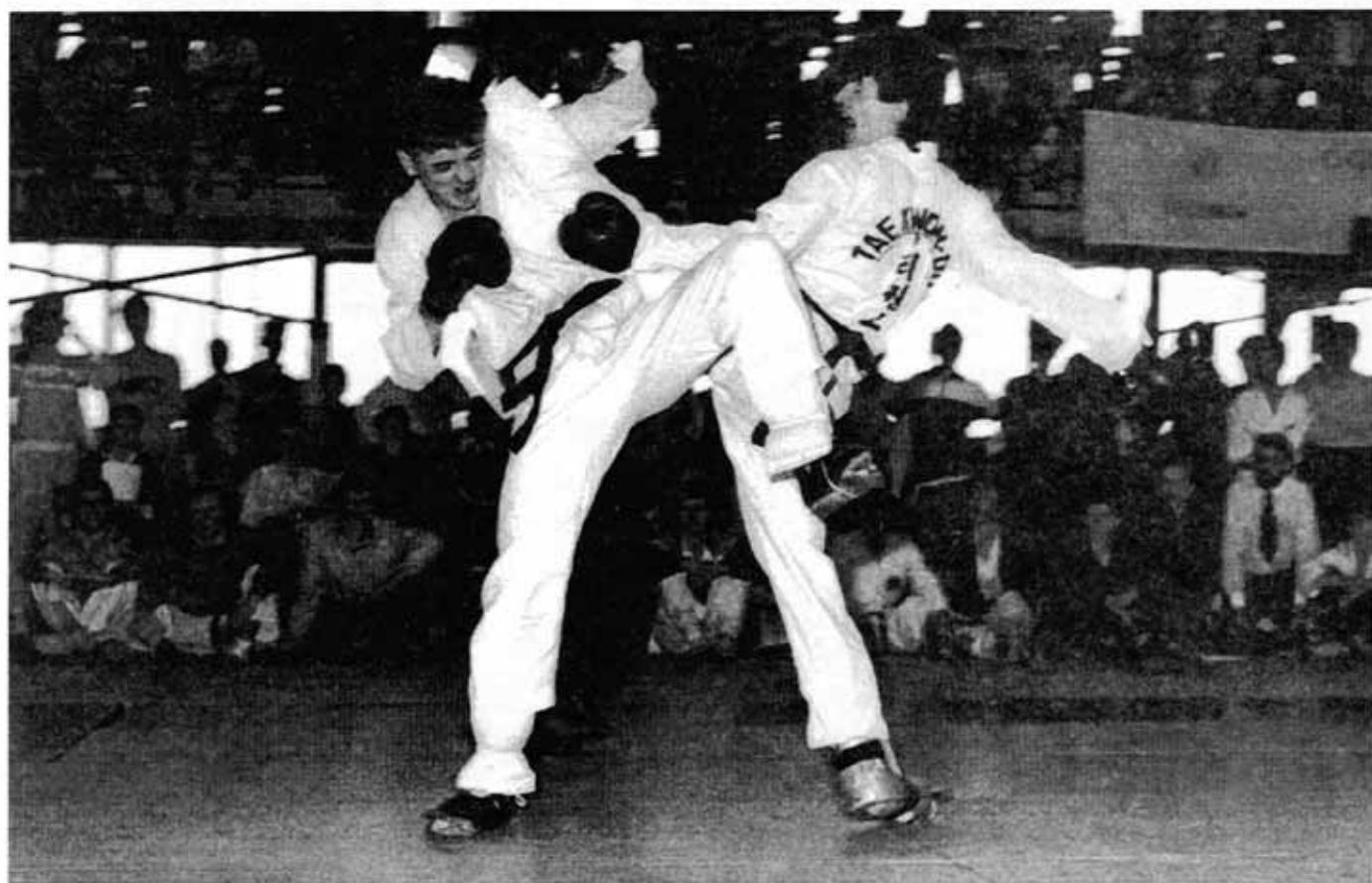
- Wspomniałeś o zgrupowaniu w 1988 roku w Phenianie w Korei Północnej. Czy mógłbyś się podzielić wspomnieniami z tego wyjazdu?

- To był pierwszy wyjazd Polaków do „stolicy” Taekwon-do. Co pamiętam?

Przede wszystkim, zdziwienie wszystkim, co tam zobaczyliśmy. My, którzy tam byliśmy, możemy opowiadać i opowiadać. Ale czuje się, że nikt nie wierzy. Gdybym tam nie był, a ktoś mi o tym opowiadał, też nie wierzyłbym.

Ze spraw związanych z Taekwon-do pamiętam bardzo intensywne treningi, bardzo techniczne, zaangażowanie przydzielonego nam instruktora, Son Ahn Nam V Dan, pierwszy turniej na sali, bez publiczności, w całości nakręcony przez gospodarzy na taśmie...

Później mecz oficjalny, tysiące ludzi na widowni, głowa przy głowie. Nie mogłem się rozluźnić,



Tak trafiającemu zawodnikowi sędziowie rzadko skąpią punktów... III Mistrzostwa Polski, Ciechanów 1990 r.



Nie każdemu udaje się zebrać tak okazałą kolekcję trofeów, każdy przyzna... Tym bardziej, gdy są to trofea zdobyte głównie na imprezach najwyższej rangi krajowej i międzynarodowej!

cały czas czułem, że patrzą na mnie i nie chcą, bym wygrał. Siedzieli cicho i w skupieniu. „Przeegraliśmy” mecz, choć mnie udało się dwie walki wygrać. Gdy Polacy trafiali, sędziowie zachowywali się, jakby byli z kamienia.

- Czy pamiętasz jakąś swoją ważną walkę i czy potrafisz ją opowiedzieć sekunda po sekundzie?

- Z pewnością dobrze pamiętam walkę z Solano Sixto, zawodnika z Puerto Rico, na Mistrzostwach Świata w Budapeszcie w 1988 roku, bo to była walka finałowa, ale jeszcze lepiej pamiętam swoją walkę półfinałową z Thomasem Kiriazosem z Grecji.

Miałem tak zbitą lewą nogę, że musiałem stosować różne wybiegi: odchodziłem, udawałem, że mu-

sę sobie poprawić ochraniacz na stopę. Ten mój przeciwnik był straszliwie agresywny. Nie chciałem mu okazywać, że bardzo boli mnie noga. Właściwie to ból był taki, że nie mogłem na niej ustać.

Pod koniec drugiej rundy trafiłem go Bandae Dollyo Chagi w głowę, bardzo czysto, a tu okazuje się, że sędzia zarządza dogrywkę. Przez moment zwątpiłem, wydawa-



Reprezentacja Polski na Mistrzostwach Świata w Montrealu, Kanada 1990 rok.

Stoją od lewej: Trener Reprezentacji Henryk Ficek, Zbigniew Bujak, Witold Zimny, Mariusz Suska, Zbigniew Kowalkowski, Zbigniew Kruk, Tadeusz Łoboda, Jarosław Suska, Krzysztof Pajewski.

Kucają w pierwszym planie: Grażyna Baczyńska, Barbara Noga, Agnieszka Frankiewicz, Anna Lubaszewska. Na zdjęciu nieobecna Katarzyna Szpiller.



Mistrzostwa Europy, Koszalin 1992 r.

Stoją od lewej: Trener Reprezentacji Henryk Ficek, Krzysztof Sommerfeld, Krzysztof Pajewski i Mariusz Suska.

ło mi się, że ta walka jest już nie do wygrania. Ale w tej dogrywce nastawiłem się na kontrującą Yop Chagi i konsekwentnie, do samego końca, robiłem tylko Yop Chagi. Zwłaszcza, że on nieustannie próbował wpychać się na mnie.

Pamiętam też walki drużynowe z tych Mistrzostw Świata, gdy Polska walczyła z Koreą. Moja walka była piąta z kolei, a stan meczu wy-

nosił 2:2! Podszedłem do tej walki jakoś tak na luzie. Mój przeciwnik był dużo niższy ode mnie. Udało mi się w ciągu 2 minut walki włożyć mu cztery razy Dollyo Chagi na twarz. I wtedy, wygramyśmy z Koreą.

- Słyszałem o Twoich bojach z kickbokserami. Mógłbyś nam opowiedzieć, ile razy z nimi walczyłeś, jak to było, po co właściwie z nimi walczyłeś?



Turniej Kwalifikacyjny do Kadry Polski, Śrem 1987 rok.

Stoją od lewej:

Krzysztof Pajewski, Chon Dae Jong VI Dan, Sin Jae Sop IV Dan, Jacek Józefek, Choi Jung Hwa VII Dan, Kim Idyok Nam IV Dan, Artur Skrzek II Dan.

- Nie było w tym mojej decyzji. Zarządzenie Ficka: „Jedziemy na turniej”. Trochę mocniejszego treningu z uwzględnieniem kontaktu stosowanego w tym regulaminie i jechaliśmy. To był taki okres startów w kickboxingu, wielu zawodników z Taekwon-do startowało w nim wtedy.

Tak wiele to w kickboksie nie zawalczyłem. Wszystkiego trzy turnieje.

Pierwszy, to turniej semicontact mający wyłonić kadrę kickboks, w Warszawie, nieco dziwny, bo w środku tygodnia. Tuż wcześniej wróciliśmy z zawodów w Lublinie. Startowałem w wadze do 74 kg.

Wygrałem 3 walki i przegrałem z o głowę wyższym od siebie Hofmanem z Gdańska. Prawdziwych kickbokserów było tam niewiele. Prawie sami karatecy, no i Hofman z Taekwon-do.

- To znaczy, że w tym turnieju pierwszych dwóch zwycięzców było z Taekwon-do?

- Tak. Drugi turniej kickboks, w jakim walczyłem, to był turniej light contact, na którym zająłem III miejsce.

Trzeci, to taka wielka gala kickboks w 1988, na której walczyłem z Hyrlikiem, a Warchoł z Piotrowskim. Byłem słabo przygotowany. Wprawdzie ćwiczyłem przed tym spotkaniem, ale to było zaraz po Mistrzostwach Świata i Mistrzostwach Polski, pod koniec czerwca, wszystko się nawarstwiło, nie mogłem jakoś się zmobilizować. Przyjąłem taką koncepcję rozegrania tych 5 rund, by pierwsze 3 powalczyć spokojnie, a później go nacisnąć.

Właściwie żaden z nas nie uzyskał przewagi, trochę częściej od niego atakowałem, mało kopał, właściwie tylko Ap Chagi. W 3 rundzie czułem, że się trochę rozkręciłem. Sędzia przedwcześnie zakończył rundę. Zdążyłem się już rozluźnić, myślałem o przerwie, a tu nagle jeszcze 15 sek, by dokończyć rundę.

Wtedy jakimś hakiem czy łokciem, trafił mnie w nos. Lekarz nie dopuścił mnie do dalszej walki i mecz był skończony.

Cała ta przygoda z kickboksem nie miała większego sensu i na tej imprezie się zakończyła.

- Jak dużo czasu poświęcałeś na trening?

- Oj, na trening to ja poświęcałem czasu bardzo dużo. Kilka go-

dzin dziennie. Już w szkole na każdej przerwie zbiegałem do piwnicy i tam, przez 15 minut przerwy międzylekcyjnej ćwiczyłem kopnięcia, po południu, dzień po dniu treningi, w sobotę spotykaliśmy się dodatkowo, sami.

Później, kiedy zacząłem pracować, też trenowałem bardzo dużo. Właściwie to nic nie robiłem, tylko przychodziłem do pracy. Pół godziny trenowałem, pół godziny pochodziłem na widoku, znów pół godziny trenowałem. Przeważnie trzymałem nogę albo ćwiczyłem kopnięcia, znowu się gdzieś pokręciłem, żeby mnie było widać w pra-

cy... I tak kilka razy dziennie sobie pokopałem. To było bardzo dobre.

- Czy takie obijanie się w pracy nie stwarzało Ci kłopotów?

- A jakże, zdarzały się różne afery z tego powodu.

Kiedyś podpatrzył mnie brygadzysta. No i napisał w raporcie: „Pajewski siedział w szopie i rękami rozbijał deski”. A do takiego raportu trzeba było zawsze napisać wyjaśnienie. Dlaczego było się tu a tu, a nie przy pracy.

Ktoś mi podpowiedział: „Napisz, że z braku narzędzi musiałeś deski na rozpałkę łamać rękami, że-

by była ciepła woda”. Tak napisałem i to był jedyny raz, kiedy mi nie odebrano premii.

Bo premii, to ja nigdy nie dostawałem, cały czas.

Wiesz, taki trening pół godziny, potem pół godziny przerwy, to strasznie męczy. Stały takie metalowe szafy, w jednej zrobiłem sobie postanie. Po takim treningu włożyłem do szafy odpocząć i zamykałem się od wewnątrz.

Któregoś dnia do pomieszczenia, gdzie stały te szafy, wszedł kierownik zakładu wraz z pracownikami, a ja w tej szafie siedzę bardzo cichutko i cały czas myślę, co to będzie, jak zechcą otworzyć szafę, a ja tu siedzę i jeszcze mam tu łóżko. Ale na szczęście, przyszli zabrać inną szafę, stojącą o dwie od mojej.

- Czy pamiętasz swój pierwszy egzamin na stopień szkoleniowy?

- Tak, to był egzamin na żółty pas. Zdawaliśmy w piwnicy u Ficka, gdzie była zrobiona siłownia. Wchodziliśmy po dwóch, trzech i zdawaliśmy, reszta tłoczyła się na zewnątrz. Zdałem.

To była duża radość, móc pojechać do domu i obszyć sobie pas na żółto. Potem były egzaminy u Koreańczyków, u mistrzów Hong Chol Song i Pe Man Song.

- Czy miałeś momenty kryzysowe, w których chciałeś zrezygnować z treningu?

- Owszem, miałem taki okres w 89-90 roku. Spowodowany był całym pasmem niepowodzeń. Wtedy, w 1989, przegrałem pierwszą walkę na Mistrzostwach Polski z Ryszardem Trzczańskim. Podłamałem się.

Rok później też wylosowałem w pierwszej walce Trzczańskie, ale wygrałem, a następnie jeszcze jedną walkę. Wtedy Janusz Sokół był po raz pierwszy sędzią i zdyskwalifikował mnie w walce z Żarejką, za zbyt mocny kontakt.

To było dla mnie straszne. Jak Ryśka przeszedłem, wydawało mi się, że droga do finału będzie łatwa. Wtedy jeszcze Żarejko nie błyszczał aż tak, bym sobie z nim nie mógł poradzić.

Gdy wkłada się w to, co się robi, dużo pracy i wysiłku, takie praktyki mogą naprawdę podłamać.

- Dlaczego w 1992 roku zdecydowałeś się zakończyć swoją karierę zawodniczą?



Mistrzostwa Europy w Koszalinie, 1992 rok: Krzysztof Pajewski z wiceprezydentem ITF, mistrzem Rhee Ki Ha VIII Dan i Anną Fedoruk (tłumacz).



Krzysztof Pajewski na podium. I Mistrzostwa Polski, Lublin 21-22.V.88
Nagrody wręcza mistrz Choi Jung Hwa, Dyrektor techniczny IITF (tyłem).

- Właściwie, po Mistrzostwach Europy miałem jechać na Mistrzostwa Świata do Korei. Miałem już nawet wizę, ale wypadek samochodowy i operacja kolana przyspieszyły moją decyzję o zakończeniu kariery sportowej.

- Czy to był groźny wypadek? Jak do niego doszło?

- To się stało w 1992 roku, wracałem z Zielonej Góry z odwiedzin u rodziny. Cała noc jazdy, byłem zmęczony.

Już dojeżdżałem do domu, miałem jeszcze najwyżej 200 metrów do przejechania, myślałem już tylko o ciepłym łóżku. I na moment przysnąłem. Wjechałem w ostatnie drzewo przed zakrętem, za nim byłbym już w domu.

Szczęście że byłem przypięty pasami. Skasowałem sobie wtedy prawe kolano. Szwy, gips.

Nie odczuwam większych dolegliwości, ale też nie poddaję go takim obciążeniom, jak kiedyś.

- Jakie jest Twoje zdanie o poziomie obecnej reprezentacji Polski w Taekwon- do?

- Jest w niej kilku dobrych zawodników. Poziom naszych reprezentantów jest bardziej wyrównany niż kiedyś. Na pewno jest ona bardziej wszechstronna. Ma też do dyspozycji większe zaplecze.

- Powiedz, jak na Twoje zainteresowania patrzyli Twoi koledzy?

- Dla swoich kolegów zawsze byłem dziwakiem. Nie mogli pojąć, po co codziennie dochodzę 7 kilometrów do autobusu, by pojechać na trening, z którego wracałem późną nocą. Mieli wciąż te same pytania: „Co Ty z tego masz?”, „Po co Ci to?”.

Nieraz nie wytrzymałem tej presji i kłamałem im, że coś tam z tego mam, ale to była nieprawda. Robiłem to dla siebie.

- A jak układały Ci się stosunki z nauczycielami?

- To zależy, ale raczej mi pomagali. Miałem w szkole luźniej niż inni.

- Podpowiedz naszym czytelnikom, co trzeba robić, żeby zostać Mistrzem Świata?

- Po pierwsze, trzeba bardzo chcieć. Po drugie, ćwiczyć. Ale to jest bardziej indywidualna sprawa.

Ja nie byłem za bardzo utalentowany, więc musiałem ćwiczyć dużo więcej niż inni.

- Czy, gdybyś mógł powtórzyć swe życie, wybrałbyś podobny życiorys?

- Myślę, że tak. Wybrałbym podobnie. Nie uważam tego czasu za stracony. Dla mnie Taekwon-do było zawsze najważniejsze, nie pieniądze, nie studia, nie praca czy dziewczyna, ale właśnie Taekwon-do.

- Czy zbierasz wycinki z gazet o sobie, wklejasz do albumu, masz wystawione swoje trofea, puchary i medale?

- Wszystkie przechowuję. Niewiele mam mebli w mieszkaniu, więc dobrze to wygląda na ścianie. Mam taką dużą półkę na puchary, chyba 21 sztuk. Były turnieje, na których nie dawano pucharów. Szkoda.

Z innych trofeów, to dyplomy i medale, wyróżnienia od władz wojewódzkich, wyniki plebiscytów na najpopularniejszego sportowca i tym podobne.

Medali to właściwie nie wiem, ile mam. Dużo. Dyplomów nie oprawiłem, nie miałbym gdzie powiesić tego wszystkiego.

- Czy zdobycie Tytułu Mistrza Świata coś w Twoim życiu zmieniło?

- Początkowo, podniósł się wokół mnie wielki szum. Potem ucichło i właściwie nic się nie zmieniło. Za to strasznie przeszkadzało na zawodach. Nie wypadało przegrać.

Spiker mówi do mikrofonu: „Walczy Mistrz Świata”, widownia spodziewa się Bóg wie czego. Duży stres. To utrudnia życie, bo każdy chciał ze mną wygrać, a kiedy nie mógł, to i tak walczył agresywniej niż zwykle, by móc potem powiedzieć: „Przegrałem, bo to Mistrz Świata, ale pod koniec rundy widziałeś, raz przyłożyłem mu, że hej!”.

- Czy masz jakieś hobby?

- Po Mistrzostwach Europy w Reading, jakiś dziennikarz napisał, że zbieram znaczki pocztowe. Wszyscy koledzy się ze mnie śmiali, bo ja nie zbieram przecież znaczków. Przychodzili do mnie ludzie z klaserami, żeby się wymieniać...

To trwało jakiś czas i było nawet zabawne. Moim hobby jest przede wszystkim Taekwon-do. Interesuję się też trochę muzyką.

- Czy jesteś przesądny? Boisz się trzynastki, czarnego kota?

- Właściwie to nie wiem. Niby nie jestem przesądny i nie wierzę w takie rzeczy, ale moja siostra miała kiedyś kurczakę na nosie. Nic nie pomagało, a tu babcia zawiązała nitką, zaczęła ją zamawiać i patrz, znikło.

Więc nie wiem, co o tym do końca myśleć.

- Jaką potrawę lubisz najbardziej?

- Nienadzwyczajny smakosz ze mnie, lubię raczej proste dania. Najbardziej lubię kurczaka z ryżem.

Kiedy przyjeżdżam do domu, mama najczęściej robi mi właśnie kurczaka, może być panierowany albo pieczony, ale koniecznie z ryżem.

- Opowiedz nam jakąś anegdotkę, jakieś śmieszne zdarzenie z treningu.

- Zaraz po Mistrzostwach Świata, po treningu, jak zwykle poszliśmy do sklepu spożywczego z kolegami na napój.

Wpada do sklepu jakiś facet, ręce pocięte, poszarpany cały i krzyczy: „Przed chwilą Pajewskiemu dołożyłem!”. My stoimy, a on nam opowiada, co robił, jak lał tego Pajewskiego.

Koleczy mało się nie zsikali ze śmiechu. Ja mu na to: „To Ty niezły kozak jesteś!”. I poszliśmy.

Niekiedy trzasa komuś spodnie na treningu. To się kiedyś przytrafiło Darkowi Skibie. Spodnie mu pękły, ale on nie zauważył. Nie miał też spodenek pod spodem.

Wszyscy widzieli, więc jeden z kolegów podszedł do niego i mówi: „Słyszałem, że Ty możesz utrzymać nogę na wysokości głowy przez 30 sekund?”. Darek odpowiada: „A pewnie”. „No to pokaż”. Trzymał biedak tę nogę i nie mógł się połapać, z czego się tak wszyscy cieszą...

- Niektórzy uważają, że Taekwon-do powinno być sztu-

ką, inni że sportem. Jakie jest Twoje zdanie na ten temat?

- Gdyby ukierunkować się tylko na sport, nie byłoby Taekwon-do dla rekreacji, nie dałoby się go ćwiczyć dla siebie. Następowalaby od razu selekcja najzdatniejszych i tylko sport, tylko pod zawody.

Tak jak jest, istnieje wybór.

- Gdyby jutro trener reprezentacji powołał Cię do kadry, czy byś się skusił?

- Na pewno mocniej zabiłoby mi serce. Moje życie jest już inaczej ustawione, mam inne obowiązki, których nie dałoby się ot tak porzucić, ale może i tak, może podjąłbym takie wzywianie.

Wywiad z Krzysztofem Pajewskim przeprowadził

1 października 1994 roku

Tadeusz Łoboda IV Dan.

Zdjęcia:

archiwum Krzysztofa Pajewskiego,

Janusz Włizło 1 Dan,

archiwum ITF.

Opr. Red.



IV Mistrzostwa Polski, Lublin 1991 rok.

Walkę Krzysztofa Pajewskiego z Jackiem Łuniewskim sędziują: Stanisław Oleksik (po lewej, w krawacie), Cezary Kowalczyk (po prawej, w krawacie)